



Iwona Demko

VIVA LA VULVA!

ROZMOWA Z
IWONĄ DEMKO**ANGELIKA PITON:** Wagina uwłacza kobiecej godności. Wiedziała pani?**IWONA DEMKO:** Nie rozumiem tego fragmentaryzowania kobiecego ciała. Dlaczego ucho, nos czy kolano nas nie zawstydzają, ale wagina już tak? Dlaczego to ją mamy ukrywać, tabuizować? Przecież to zupełnie nielogiczne tak kawałkować ciało kobiety i decydować, która część obraża, a która nie. Waginę mamy przez całe życie i ją też przecież stworzył Bóg, jeśli by trzymać się narracji chrześcijańskiej. Dodatkowo wagina ma piękniejsze konotacje niż taki łokieć na przykład – bo to ona wydaje dzieci na świat.**Wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł uznał, że pani rzeźba – metrowa wagina, pozłacana, wyłożona cekinami, jednak kobiecej godności uwłacza. I podał to jako jeden z 26 powodów odwołania Moniki Strzępki ze stanowiska dyrektorki Teatru Dramatycznego. Spodziewała się pani, że Warszawę zatrzęsie wagina z Krakowa?**

– Przykro mi, że żyjemy w społeczeństwie, w którym wojewoda, czyli urzędnik państwowy, publicznie tabuizuje i stara się wmówić kobietom, że powinny się wstydić tej części swojego ciała. Niestety Konstanty Radziwiłł nie jest w swoich poglądach odosobniony. Jego opinie trafiają na podatny grunt. Tematem waginy zajmuję się już ponad dziesięć lat i w tym czasie stworzyłam prace o różnym natężeniu poruszenia społecznego. Monice, którą poznałam niedługo przed tym, jak została dyrektorką Teatru Dramatycznego, zaproponowałam kilka swoich prac, które miały uświetnić wieczór jej oficjalnej nominacji. Wybrała tę akurat, którą uznaję za jedną z najmocniejszych. „Wilgotna Pani” świadomie nawiązuje bowiem do wizerunku Matki Boskiej. Nie chodziło jednak o to, by traktować ją w sposób bluźnierczy czy obrażać osoby wierzące. Przyświecała mi raczej idea, by pokazać korzenie Maryi.

Rola postaci kobiecej w mitologiach się zmieniała.

– Stopniowo zredukowano jej moc, potęgę, zakres działania. Postać Matki Boskiej wywodzi się z Wielkiej Bogini, uosobienia bóstwa stojącego na początku świata w wielu mitologiach. Z czasem ta postać stała się wyłącznie Bożą matką, drugoplanową bohaterką. Można o tym przeczytać w „Miłości, płci i matriarchacie” Ericha Fromma. Ta historia spadku ważności w religiach doskonale pokazuje też, jak my, kobiety, utraciliśmy znaczenie w świecie. W pracy tej, którą nazwałam „Wilgotną Panią”, połączyłam więc dwa symbole, które z jakiegoś powodu bardzo Polaków oburzają: srom i płodność, za którą idzie moc wydawania życia, razem z postacią Matki Boskiej. Nie bez przyczyny uważanej w Kościele za dziewicę.

Tak samo mocno jak złota wagina w oczu zakął cały Sabat Dobrego Początku, czyli pochód zorganizowany pod Pałacem Kultury i Nauki. Ordo Iuris dopatrywało się w tym obrazie uczuć religijnych i pokazywania pornografii, „Panorama TVP” okrzyknęła go „starcie cywilizacji”, powstała nawet petycja, w której zarzuca się wam demoralizację młodzieży.

– W tej litanii żalów pojawiły się też zarzuty o to, że „Wilgotną Panią” sfinansowano z publicznych pieniędzy, bo Teatr Dramatyczny jest instytucją nadzorowaną przez państwo. Tu sprostuję – i rzeźba, i pochód miały miejsce już w 2014 r. Przenieśliśmy wtedy rzeźbę w pochodzie, a potem stanęła w prywatnej ga-

Społeczeństwo. Iwona Demko o prawach kobiet

Wagina z Krakowa zatrzęsała Warszawę

Politykom wydaje się, że emancypacja już się dokonała, bo możemy pracować czy startować w wyborach.

lerii na Rzeszowszczyźnie. Obeszło się wtedy bez żadnych sensacji, kontrowersji i splotów na niego hejtu. Podatnik więc żadnych kosztów nie pokrywał. Patrząc na te wszystkie groźnie brzmiące hasła kierowane w stronę moją i Moniki – i myślę sobie, że ma to wszystko jeden ogromny plus.

Jaki?

– Możliwość edukacji. Kiedy po raz pierwszy, dekadę temu, wzięłam waginy na warsztat, dostawało mi się i z lewa, i z prawa. Zarzucano mi nimfomanię albo choroby psychiczne o podłożu seksualnym. Grzmiano, że trzeba mnie leczyć. Choć gdybym pewnie rzeźbiła kobiece nosy, nikt o żadne choroby by mnie nie podejrzewał. Nie przejmowałam i nie przejmuję się reakcjami, bo rozumiem, skąd one wynikają. Cierpliwie pracowałam – i to nie tylko rzeźbiąc i tworząc, ale zajmując się odkrywaniem kultu waginy, szukając jego śladów w literaturze. Popularyzuję wiedzę, cierpliwie tłumaczę. Każdy patrzy na otaczający świat przez pryzmat własnej wiedzy i doświadczeń – a ja mam misję edukacji w temacie waginy. Opowiadam o tym, czego się dowiedziałam.

Czyli o czym?

– O tym, że przez wiele tysięcy lat wagina była wynoszona na ołtarze i traktowana z szacunkiem i podziwem, jako brama życia. Była symbolem kobiecej mocy, płodności, pomyślności, szczęścia. Przedstawiana na rysunkach i rzeźbach, noszona na ochronnych amuletach. Kobiety – posiadaczki wagin – odgrywały bardzo dużą rolę w życiu społecznym, politycznym, religijnym. Wzbudzały szacunek jako te, które mają niesamowitą moc, są zdolne wydać na świat nowe życie. Ludzie nie kojarzyli kiedyś aktu prokreacji z narodzinami. Nie wiedzieli, że do stworzenia nowego życia jest po-

trzebny mężczyzna. Myśleli, że za kreację odpowiedzialna jest tylko kobieta – stąd wyobrażenia kobiety jako Wielkiej Bogini – stworzycielki świata. Kiedy ludzie odkryli, że mężczyzna jest niezbędny do powstania nowego życia, zaczęli umniejszać znaczenie kobiety. Wagina trafiła z sacrum do profanum. Z miejsca obdarzonego szacunkiem stała się wstydem; czymś, co trzeba ukrywać. Ta metamorfoza trwała wiele tysięcy lat. Naomi Wolf w swojej książce „Wagina. Nowa biografia” napisała: „To, w jaki sposób dana kultura odnosi się do waginy – z szacunkiem czy brakiem szacunku, z czułością czy z niechęcią – stanowi metaforę traktowania kobiet w danym miejscu i czasie”. Na przestrzeni ostatnich lat widzę jednak ogromną zmianę. „Czarne protesty” i strajki kobiet spowodowały, że wagina wkroczyła w przestrzeń publiczną, i to bez seksualnych konotacji. Ludzie zaczęli wreszcie wymawiać to słowo na głos, rysować je – na transparentach. O waginie zaczęto mówić w kontekście prawnym, medycznym, społecznym. Zwracać uwagę, a potem wyzywać się spojrzenia na rzeczywistość okiem heteroseksualnego mężczyzny, do której całe życie jesteśmy tresowani. Kiedy o waginie myśli się tylko przez pryzmat seksu, to jest to perspektywa patriarchalna. A są przecież jeszcze inne spojrzenia.

Uczy się nas, że mamy się wstydić waginy.

– Istotna jest również kwestia psychologiczna. Część osobowości kobiety buduje się na poczuciu wstydu związanego z ciałem, z waginą. A to ma niebagatelne przełożenie na budowę całej tożsamości. Na to, jak kobieta na siebie patrzy, jak się ze swoim ciałem czuje, jak o sobie myśli, a w dalszej kolejności jakie podejmuje wyzwania, np. czy jest pewna siebie i jak to się przekłada na

poszukiwanie pracy przez nią, jak podchodzi do życia. Wiadomo, że nie wszystko zależy od naszej sympatii i akceptacji własnej waginy, ale ta akceptacja ma ogromne znaczenie i o tym chcę mówić. Wierzę, że gdybyśmy – zarówno kobiety, jak i mężczyźni – waginę szanowali, to nikomu do głowy by nie przyszło, by była narzędziem wojennym, obiektem upodlenia i przemocy. Oddawalibyśmy jej cześć. I nie mam tutaj na myśli pogańskich rytuałów. Chodzi mi o refleksję i zwrócenie się w stronę ciała, własnej fizyczności; o uświadomienie sobie, że ciało ma swoją pamięć, ma swój język, za pośrednictwem którego przekazuje nam komunikaty. Tyle że my często nie umiemy ich odczytywać, bo tresowani jesteśmy do patriarchalnego kierowania się jedynie rozumem i logiką. A ciało jest tym, co grzeszne, brudne, mniej wartościowe. Tymczasem ja mówię, że w życiu chodzi o równowagę między ciałem a rozumem.

Io nieskrępowane, odważne powiedzenie „Viva la vulva”? Bez konsekwencji?

– Tak!

Maria Peszek, która jest autorką piosenki o takim tytule, „podpadła” władzy już dwa razy. Najpierw w Krakowie, kiedy marszałek Witold Kozłowski wszczął procedurę odwołującą ze stanowiska dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego, bo ten oddał scenę Mai Kleczewskiej i jej feministycznym „Dziadom”, a potem zorganizował w Warszawie – bo wojewodzie Radziwiłłowi nie spodobało się, że jej kobiecie utwór ma być nowym hymnem Teatru Dramatycznego. Pani zdaniem rządy Zjednoczonej Prawicy boi się kobiet?

– Myślę, że boi się zmian i zaburzenia porządku, do którego przywykł. A tak



się jakoś stało, że rujnują im go kobiety. Nie jest to jednak tylko domena Prawa i Sprawiedliwości. Kiedy zajęłam się poszukiwaniem pierwszych studentek studiujących na krakowskiej ASP, podobne argumenty wyczytywałam w ówczesnej prasie. Kobieta na uniwersytecie? Wieszczone wówczas koniec świata, bo panowało przekonanie, że przeznaczeniem kobiet jest opieka nad domem, dziećmi, szeroko pojętą sferą prywatną. Uważali, że to do tego natura stworzyła kobiety – a przecież naturze nie można zaprzeczać. W jednym z tekstów przeciwnik studiowania kobiet napisał, że jeśli kobiety trafią na wyższe uczelnie, to będzie to gorsze niż trzy rozbiory Polski. Wszelkie emancypacyjne ruchy miały oznaczać koniec cywilizacji. Jak dotąd ten nie nadszedł! A w międzyczasie „przelknęliśmy” prawo kobiet do edukacji, prawo do udziału w wyborach czy do poruszania się na rowerach. Przelknęliśmy i pełne równouprawnienie, a przecież tylko o to toczy się walka. Walczymy o te równe prawa powoli, drobnymi kroczkami, w nieustannej atmosferze paniki, wzburzenia i negatywnych emocji.

Wychowywano panią na grzeczną dziewczynkę?

Przez całe lata byłam socjalizowana na grzeczną dziewczynkę. Ciągłe chcę wszystkich usprawiedliwiać i tak też mam w tym przypadku. Dlatego wydaje mi się, że politycy cenzurują kobiety nieświadomie. Oni uważają, że emancypacja kobiet już się dokonała, bo możemy pracować czy startować w wyborach. Tymczasem dopóki nie będziemy zajmować tych samych stanowisk i otrzymywać za nie takiego samego wynagrodzenia, dopóki będzie istniała tak duża przemoc wobec kobiet; dopóki kobieta nie będzie mogła być księdzem czy papieżem, to wciąż mamy wiele do zrobienia.

Pani tu o papieżu, a przecież od lat obserwujemy zażartą dyskusję choćby na temat feminatywów! My na elementarnym poziomie, czyli samego języka, mamy problem z równością.

– To prawda. Te nasze dążenia do emancypacji i równouprawnienia w ostatnich latach w Polsce są podcinane, choćby przez zmiany przepisów, zaostrzenie prawa aborcyjnego etc. Strach władzy przez zmianą ma realne przełożenie na nasze – kobiet – życie. Ja jednak patrzę na świat przez różowe okulary. Kiedy zaczynałam zajmować się waginami, znalazłam wszystkie kobiety, który naukowo badały ciała kobiet. Było nas mało, a taki sposób myślenia i patrzenia był jeszcze dziesięć lat temu całkowicie niepopularny. Wiedza? Książka była jedna, autorstwa Catherine Blackledge. Taką moją waginalną biblią. Dopiero potem powstały kolejne, tematem wagin i seksualnością kobiet zaczęło się interesować coraz więcej działaczek. Dziś jest nas tyle, że nie mamy szans się dobrze znać. Liczę, że działania rządu przyniosą skutek odwrotny do zamierzonego – czyli że oddolnie będziemy się edukować, wszczynać społeczne dyskusje. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Jeśli kobieca seksualność przed „czarnym protestem” była tematem tabu nawet na lewicy, a teraz mówi się o niej coraz częściej i głośniej, i mówi o niej nawet prawica – to wierzę, że w końcu zacznie patrzeć na nią neutralnie.

A może to po prostu efekt zmiany pokoleniowej?

– Po części zapewne też. Jeśli przez lata jesteśmy przyzwyczajone do pewnego sposobu patrzenia na siebie nawzajem, zmiana przychodzi trudniej. Ja sama o kulcie waginy zaczęłam czytać po trzydziestce. Stawałam przed lustrem i mówiłam na głos „wagina”. Szalenie

mnie to słowo zawstydzalo, choć byłam dorosłą, świadomą kobietą. Do dziś działania wokół niej są dla mnie procesem przemiany. Z satysfakcją i podziwem patrzę dziś na młode dziewczyny, które są wyposażone w wiedzę, jaką ja wtedy dopiero odkrywałam. One budują swoją kobiecą tożsamość na zdrowych podstawach – wolności, odwadze, znajomości siebie i swojego ciała. A to jedno z ogromnych wyzwań, przed jakimi stoimy – wiele trzeba bowiem zrobić, żeby odzyskać perspektywę kobiet i naszego patrzenia na ciało. Odsłonięcie nie jest przecież prowokacją, zaproszeniem do przemocy. Tylko emancypacja i odzyskanie tego spojrzenia pozwoli nam mieć nad nim władzę, uniknąć sytuacji, w której kobietom wmawia się, że za krótka spódnica powoduje, że zasługujemy na gwałt albo że same się o niego prosimy. To przerażające. Gdyby działa się to w drugą stronę – czyli mówilibyśmy, że mężczyzna zasłużył na gwałt, bo miał za krótką koszulkę lub był niewłaściwie ubrany, taki argument szybko by wysłniano. Lubię dokonywać szarad i podstawić mężczyznę w miejsce kobiety w różnych działaniach i sferach życia. Ten prosty zabieg pokazuje, jak daleko jesteśmy od równouprawnienia.

Coraz głośniej w ostatnim czasie mówi się o braku odnajdywania się w tym dualistycznym podziale na męskie-żeńskie. Pani zdaniem ten podział rzeczywiście się już wyczerpuje? A może również jest reliktem starożytności?

– Ten podział to przede wszystkim różnice w socjalizowaniu. Kiedy na świat przychodzi człowiek o widocznych narządach płciowych męskich, socjalizujemy go na mężczyznę – i na odwrót. Kulturowo tworzymy definicję kobiecości i męskości, co często nie ma związku z naturą i tym, co ludzie odczuwają. Każda osoba ma mniejszy lub większy problem z dopasowaniem się. Zapominamy w tym wszystkim, że to nie my mamy się dostosowywać do definicji, ale ona do nas. I w sensie konstruktu kulturowego to, co się kryje za kobiecością i męskością, to przeżytek. W życiu codziennym epatuję kobiecością tylko po to, aby dowartościować te cechy. Gdybym miała opisać siebie, to powiedziałabym, że jestem osobą, która urodziła się z widocznymi kobiecymi narządami płciowymi i była socjalizowana na kobietę. A czuję się różnie, czasami trochę męczyzną, czasami trochę kobietą. Jest to płynne. I to mi w niczym nie przeszkadza, wręcz przeciwnie – pomaga.

A róż, w który się pani ubiera, to broń czy manifest?

– Manifest. Przez pierwszych 27 lat swojego życia nienawidziłam tego koloru. Jakbym chciała być ponad tym, co jest związane z kobietą i kobiecością. Większą część mojego życia udawadniałam, że znaczę więcej – bo przecież jesteśmy socjalizowani do tego, że wszystko to, co kobiece, ma mniejszą wartość. Nie chciałam być kobietą i być kobieca. Kiedy zaczęły mi rosnać piersi, wstydziałam się ich, bo nie mogłam się już tej kobiecości wyprzeć. Do dziś się przez to garbię. Po róż sięgnęłam najpierw w swo-

ich pracach. Dopiero potem sobie uświadomiłam, że ja ten kolor i wszystko, co kulturowo symbolizuje, wyparłam. Założyłam więc, że będę róż dowartościowywać, wnosić do akademii i do przestrzeni publicznej. Że manifestując swoją kobiecość na tysiąc procent, będę z nią ludzi oswajając i przez to ją normalizując oraz dodając jej pozytywnego znaczenia. W mojej uczelni wszyscy przyzwyczaili się do mojego wyglądu, choć na początku łatwo nie było.

Do dziś, kiedy przyjeżdżam na obronę pracy doktorskiej do innych akademii i pojawia się cała na różowo, to część osób myśli, że zaraz wniosę kawę czy herbatę. A ja zasiadam w komisji doktorskiej.

To też świetnie pokazuje, jak myślimy o kobietach i jakie role w domyśle im przypisujemy, jak działają nasze stereotypy myślowe.

Habilitację zrobiłam, badając sexworking, i wniosłam tym samym temat pracy seksualnej do murów uniwersytetu. Dałam sygnał, że to sfera, którą akademia może się zajmować i traktować poważnie. To, o czym mówię, legitymizuję swoją osobą i swoim tytułem naukowym. Staram się korzystać z miejsca, w którym się znalazłam. Na marginesie – historycznie kolor różowy był przypisany mężczyznom. Pisała o tym Zofia Bałtarowicz-Dzielińska, pierwsza studentka ASP w Krakowie, zwracając uwagę, że niemowlęta chłopcy byli ubierani na różowo, a dziewczęta – na niebiesko. Dlatego np. niebieski jest kolorem maryjnym i dlatego znamy ją z przedstawień właśnie w niebieskiej szacie.

Raz z tego różu pani zrezygnowała, na rzecz czerni. Kiedy w 2017 r. protestowałyście przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego, do czego finalnie doszło cztery lata później, stanęła pani na rynku, w czarnej szacie właśnie, i uniosła pani spódnice. Zagrała i kolorem, i ciałem.

– Spadła na mnie za ten gest lawina hejtu. A ja na spokojnie tłumaczyłam: że gest podniesienia ubrania kobiety wykonują od setek lat, i to w niezależnym od siebie czasie i miejscach. Gest został nazwany „anasyrma” i opisany w V w. p.n.e. przez Herodota. Kobiety wykonywały go po to, by przekazać płodność, np. kopalni, w której zabrakło kruszcu, po to, by odstraszyć groźne siły natury, co robiły np. żony rybaków w Katalonii, którzy wypływali na połow, zapewniając im w ten sposób spokojne morze. W końcu – by kogoś zganić, zawstydzić, jako środek dyscyplinarny. Znane w języku polskim określenie „sromotny wstyd” nie oznacza, że mamy się wstydzić, ale że mamy moc zawstydzania kogoś innego; kogoś, kto zachowuje się niegodnie. Podczas wojny Medów z Persami perskie kobiety zawstydziły, unosząc spódnice swoich mężów uciekających z pola bitwy, i oni pod wpływem tego gestu wygrali z Medami. Opisał to Plutarch w VI w. p.n.e. A potem w XVI w. odmalował na swoim obrazie Otto Van Veen czy Frans Francken Młodszy. W XX w. siedem tysięcy Kamerunek uniosło spódnice, obalając w ten sposób kolonialne prawo agrarne, a w dalszej kolejności ich bunt doprowadził do odzyskania niepodległości przez francuską część Kamerunu.

I to ten komunikat chciała pani przekazać wówczas Polsce i Polakom? Zganić rząd, wezwać społeczeństwo do protestu?

– Po to zwielokrotniłam swoją postać na instalacji, żeby ten przekaz wzmocnić. Jeśli jedna kobieta podniesie spódnice i wykona gest anasyrma, to łatwo uznać ją za wariatkę. Ale setek, tysięcy kobiet zignorować się już nie da. ●

Rozmawiała **Angelika Pitoń**

Do dziś, kiedy przyjeżdżam na obronę pracy doktorskiej do innych akademii i pojawia się cała na różowo, to część osób myśli, że zaraz wniosę kawę czy herbatę. A ja zasiadam w komisji doktorskiej